

PRZEŻYLIŚMY GROSS-ROSEN

Tom II - Filie obozu koncentracyjnego
Gross-Rosen

Zeszyt 6 - Komando Brieg

- Komando Niesky

Na prawach rękopisu

Związek Bojowników o Wolność i Demokrację
Dzielnica Warszawa-Śródmieście - Koło Nr 1
ul. Wiejska 11. 00-480 Warszawa tel.296943
Komisja Historyczna Środowiska Gross-Rosen

Warszawa 1987

Zespół Redakcyjny

Zofia Doboszyńska, Witold Kulisiewicz - kierownik redakcji,
Roman Olszyna, Andrzej Romanow, Feliks Sikora, Henryk Uchman-
sekretarz redakcji,



przy współpracy :

151/6

Tadeusza Berny - Wrocław, Michała Czebłakowa, Haliny Dudowej,
Romana Gierka - Oborniki, Jadwigi Gromackiej, Romana Konarzewskiego
- Poznań, Stanisława Korby-Kielce, Jana Kosińskiego i Mieczysława
Kwietnia - Lublin, Stanisławy Kozuchowskiej, Henryka Króla -
Jelenia Góra, Edmunda Nawry - Bydgoszcz, Alojzego Nowickiego -
Inowrocław, Tadeusza Piórkowskiego, Bronisława Rudyka, Władysława
Walczaka - Kalisz, Olgierda Schaefera - prezesa Klubu Gross-Rosen,
Bogdana Wierzejewskiego - prezesa Koła Nr 1 ZBoWiD, Julii Wroczyń-
skiej.

Projekt okładki : Włodzimierz Kern

S P I S T R E Ś C I

str.

Komando Brieg:

Od redakcji	5
Antoni Wojnarowicz - Fragment wspomnień z Komanda Brieg	7
Władysław Sankowski - Byłem w Brieg	9
Jerzy Tęśiorowski - Skończyła się moja niewola	11
Bogdan Banaszewski - O zamiarach ucieczki	22
Marian Karczewski - W rewirze Komanda Brieg	23
Franciszek Knapp - Moja nieudana ucieczka	25
Wykaz więźniów Komanda Brieg	28

<u>Komando Niesky</u>	Str.
Od redakcji	36
Stefan Malinowski - Ostatnim obozem Niesky	37
Edward Tomala - Pamiętnik z Niesky	50
Jan Łysek - Z Komando Niesky do wolności	53
Władysław Zyśk - W Gross-Rosen i Niesky	55
Edmund Ginalski - II Armia Wojska Polskiego uwalnia Więźniów Niesky	58
wykaz więźniów Komando Niesky	62

OD REDAKCJI

Podobóz w Pampitz-Brieg założony został w lipcu 1944 roku. Jego więźniowie przeznaczeni zostali do różnych prac na lotnisku niemieckiej Luftwaffen. Choć organizacji podobozu oparta była na zasadach obowiązujących w obozie koncentracyjnym, "nadmudzi" w uniformach SS było tu niewielu. Większość obsługi podobozu stanowili żołnierze miejscowej jednostki Luftwaffen.

Do największych katów w podobozie należeli Lagerfuhrer Stosch i Lagereltester Robert Nocon. Niekłe wyżywienia, nie chroniąca przed zimnem odzież, brak odpoczynku i opieki lekarskiej był przyczyną niejednej więźniarskiej niedoli. Niewielki obozowy rewiz mimo przydzielenia lekarza-więźnia Łukawskiego nie wiele zmieniał los chorych.

Rozległy teren lotniska, utrudniał wartownikom dokładny dozór więźniów. Dodatkowe w tym trudności sprawiały panujące mgły. Nie omieszkali tego wykorzystać najbardziej ryzykowni więźniowie. 14 lipca 1944 roku udało się zbiec więźniom Jan Jankowski i Leonid Juźwa. W porze jesiennej próby ucieczek powtarzały się coraz częściej.

Pod tym względem, najbardziej nieoczekiwaną niespodziankę sprawili więźniowie władzom podobozu w dniu 5 stycznia 1945 roku. Około 30 więźniów powracających z miejsca pracy oddalonego od podobozu kilkadziesiąt km., rozbroiło pilnujących żołnierzy i dokonało zbiorowej ucieczki. Jej

przebieg okazał się jednak dla śmiazków tragiczny. Przyczynił się do tego w niemałym stopniu kapo tej grupy Henryk Zawierucha, któremu udało się podczas zamieszania oddalić od więźniów i zaalarmować Niemców.

Zaledwie dwom więźniom udało się kontynuować szczęśliwie ucieczkę do końca. Część więźniów zginęła od kul niemieckich patroli. Reszta połapana w terenie odstawiona została początkowo do podobozu a następnie do karnej kompanii w Gross-Rosen. Decyzje co do dalszych losów śmiazków miały zapisać u władz w Berlinie.

W niespełna dwa tygodnie po zlikwidowaniu ucieczki, hitlerowcy musieli zlikwidować podobóz. W pieszym marszu więźniów doprowadzono do Gross-Rosen. Tułaczka kosztowała nie jedno więźniarskie życie. Była ona początkiem tragedii ewakuacyjnej obozu Gross-Rosen. W początkach lutego 1945 roku w jednym z pierwszych transportów opuszczających Gross Rosen znaleźli się więźniowie podobozu Pampitz-Brieg. Nowym miejscem ich uwięzienia okazał się obóz koncentracyjny w Buchenwaldzie.

Nie doczekali się decyzji Berlina uciekinierzy z podobozu. Raptowna ewakuacja objęła ich równie. W dniu 8 lutego 1945 roku grupę tą włączono do transportu skierowanego do obozu koncentracyjnego Dora-Nordhausen. Fakt ten pozwolił im uniknąć niewątpliwej egzekucji jako kary za śmiałą próbę ucieczki.

W zeszycie tym publikujemy wspomnienia niektórych więźniów, którzy doczekali wyzwolenia, oraz na końcu zamieszczamy częściowy wykaz więźniów Komanda Brieg.

FRAGMENT WSPOMNIENI Z KOMANDO BRIEG

Mamy rozbudowywać lotnisko. Robić drogi dojazdowe i ziemne bunkry na samoloty w polu. Gdy wchodziliśmy na teren obozu, obóz był po lewej stronie, lotnisko po prawej, przy bramie, w kucki siedzieli Żydzi. Mamy zająć ich miejsce. Dookoła druty i wieże wartownicze z karabinami maszynowymi. W obozie pełno baraczków z dykty, jak domki kampingowe. W łączenia ścian wchodzi dłoń. Małe to, niskie, lokują nas po 10 chłopów. Jest ciasno, ale zimą będzie cieplej. Nasz barak stoi przy drutach mamy chociaż widno od latarni na drutach. Lotnisko jest za miastem 5 km. Wokół ani jednego domu, tylko pola na których rośnie marchew, buraki itp. Pilnowali nas żołnierze z Luftwaffe. Ci byli w stosunku do nas ludzcy. SS-manów było niewielu. Ci dopiero dawali nam szkołę! Komendantem obozu był Niemiec z Wrocławia Stosch. W 1914-1918 był w Grenschutz. Starszym lagru był Robert Nocoń, a po nim August Sznajder. Rudy, wysoki, prawie dwa metry wzrostu, potężnie zbudowany, zawsze chodził ze styliskiem od łopaty. Ten dawał nam się we znaki. Pod koniec 1944 roku, gdy z Niemcami było już kruch, poszedł na ochotnika do wojska na front. Blokowymi byli: Józef Kuździoł, Bronisław Tomaszewski, Zenon Helczyk, wszyscy z Poznania i Donat Petrol z Torunia. Głównym szrajberem był Henryk Suchowiak, były sędzia. Tłumaczem był Ślązak Rura. Lekarzem był dr. Łukawski, jego asystentem Ludwig, a kapo rewiru Henryk Dolata. Policjantów obozowych było trzech: Niemiec Helmut - kawał bandyty, Wasyl Dubowiec z ZSRR - równy chłop, nie bił niepotrzebnie, chyba, że ktoś z władz obozowych patrzył, świetnie mówił po polsku i Roman Burzykowski - komik z cyrku Staniewskich w Warszawie. Burzykowski stale nam mówił jakie kawały odstawiał w cyrku. Równy chłop, jak Wasyl. Kapem kuchni był Czech Józef - kawał łobuza. Wypędzał z kuchni Polaków, a brał Czechów. Kapem kartoflarni był Ukrainiec Iwan. Ten kapo nas popędzał kijem. Wyżywienie było marne. Na śniadanie ćwierć litra wody zaprawionej mąką i zagotowanej. Na obiad trzy czwarte litra zupy z jarzęmu, marchwi, brukwi i dyni. W zupie pływały ze dwa ziemniaki. Jak się obierało ziemniaki, to dawali miskę zupy za pracę, więc gdy komanda wracała z pracy szliśmy do obierania ziemniaków. Raz w tygodniu była słodka zupa "Knorr", po ćwierć litra. To była dobra zupa. Stale byliśmy głodni. Za pracę dawano nam lagermarki. Ilość ich zależała nie od pracy a od fantazji majstrów Niemców. Za lagermarki można było w kantynie obozowej kupić trochę kiszonych buraków, papierosy i czarną prymkę do żucia.

Z początku wrywałem ziemniaki i buraki, plantowałem ziemię i kładłem tory kolejki. Małe lokomotywki spalinowe wiozły w wagonikach żwir. Inne komando wykadowywało ten żwir i plantowało. Wyrwaną marchew i buraki wożono do obozowej kuchni. Przywoziła to w parę białych koni Polka, Róża Pawlicka, która pracowała u bauera po drugiej stronie miasta. Nie raz, ukradkiem przywoziła nam chleb i trochę żyta. Potem pracowałem z ojcem przy robieniu pustaków. Było nas 13 betoniarzy. Kapem był Polak Kiniarz. Majstrom był mały, rudy Niemiec. Cement i żwir przywoziła nam Pawlicka

Pewnego dnia zawołano mnie i Bielowskiego za bramę obozu. Stał tam wóz z trumną z nieheblowanych desek. Wozem powoziła Pawlicka. Dołączył do nas jeszcze jeden kolega Ryszard Chełmiński i mówi, że mamy pogrzeb. Umarł znany sportowiec Kabulski. Dostał czarnych wrzodów. Te trupie wrzody to zaraza z wagonów. Rysiek mówi, że on także jest cały obandażowany papierowymi bandażami. Polka ruszyła w konia, a my za nią idziemy z łopatami w kierunku miasta. Pilnuje nas lotnik z karabinem. Idziemy wolno, dochodzimy do cmentarza. Pod murem cmentarza zestawiamy trumnę i kopujemy grób. Obok jest kilka grobów jeńców radzieckich. Kopujemy na zmianę, jest gorąco. Wachmanowi z domu obok wyniesiono coś do picia i parę gruszek. Nam dano wiadro wody. Wachman je gruszki, nie zupełnie je ogryza i rzuca nam. Ach, jakie słodkie. Po wykopaniu grobu, spuszcza trumnę. Dużo tu grobów z polskimi nazwiskami. Leżysz kolego obok swoich rodaków. Za dwa tygodnie znów pogrzeb. Umarł kolega Stasiak, nazwiska nie pamiętam. Staśka skatował esesman za powolną pracę, styliskiem od łopaty, które złamało się Staśkowi. W obozie dostał jeszcze za karę 25 uderzeń w tyłek i to go dobiło.

Na drugi dzień z naszego komanda biorą 5 kolegów i mnie. Wsadzają nas na samochód ciężarowy i jedziemy przez miasto. Kawał za miastem była góra piaszczysta. Ładujemy piasek na samochód. Niedaleko od nas ktoś w parę koni bronuje ziemię. Widząc, że odpoczywamy doszedł do nas i pyta czy jesteśmy Polakami. Tak - odpowiadamy. I ja Polak - Ślązak - mówi on. Jo też Ślązak - oświadcza jeden z wachmanów i pyta - Czego chcesz od nich? Nic, chcę im dać kilka cygaretek. Chłop częstuje najpierw wachmanów. Obaj Ślązacy mówią po niemiecku. Chłop przyniósł nam ze dwadzieścia kilo marchwi i za zezwoleniem wachmanów, dał nam.

Teren lotniska miał chyba ze dwadzieścia parę ha powierzchni. Samoloty były czarne i miały białe krzyże. Były wśród nich duże i były mniejsze. Stale ruch był w powietrzu. Jedne lądowały, inne wznosiły się. Czasami spadały i paliły się. Lotnicy wtedy ginęli. Przeprowadzano śledztwo. Kilkunastu plennych rozwalili, ale się nic nie wydało. W końcu zabroniono Rosjanom pracy przy samolotach.

Ja pracowałem z dwudziestodwuletnim Rosjaninem. Był cały piegowaty i rudy jak wiewiórka. Co to był za chłopak, kawalarz i ryzykant jakich mało. Mówi on do mnie: "Tolek, zrobmy germańcom szpasa". "Coś ty durny! Nie dopuszczają nas do samolotów". Okazało się jednak, że nie o samolotach myślał Kola, a o lokomotywach wożących piasek. Proponował, abyśmy nasypali drobnego piasku do panewek. Zatrą się i lokomotywki staną. Kolega Bączek, który słu-chał jak rozmawiamy, poradził, aby do piasku dodać trochę opiłków żelaza. Nazajutrz przyniósł te opiłki. Opiłki z drobnym piaskiem wsypaliśmy do drewniaków. W czasie przerwy obiadowej, udając, że wytrząsamy piach z drewniaków, wsypaliśmy zawartość do zbiorniczków z oliwą. Urwaliśmy także pokryweczki od tych zbiorniczków. Kola załatwił jedną, ja drugą lokomotywkę. Wszyscy byli zajęci jedzeniem i nikt nie zauważył naszych zabiegów. Cieszyliśmy się jak wariaci, kiedy przerwa w dostawie żwiru trwała około 11 godzin. Hitlerowcy stwierdzili wyciek oliwy i zatarcie osi. Przeprowadzili śledztwo. Lotnicy, którzy nas pilnowali zeznali, że w czasie obiadu nikt się nie ruszał. W końcu uznano, że piasek nasypał się do panewek, bo nie było pokryweczek na zbiorniczkach z oliwą.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.11.3.6.

BYŁEM W BRIEG

Komando w Brzegu liczyło 1000 mężczyzn. Było zatrudnione przy budowie lotniska. W chwili mego przybycia Lagerführerem był Gustaw Schulc, niemiecki więzień kryminalny, niezmiernie wobec więźniów okrutny. Znęcał się nad więźniami, zwłaszcza w czasie apelów bijąc do śmierci. Fakty mordowania więźniów przez Schulca widziałem niejednokrotnie... Po 2-3 miesiącach Schulc został wycofany z powrotem do Gross-Rosen, funkcję Lagerführera objął Robert, niemiecki więzień kryminalny, który także bił więźniów, lecz nie widziałem by ich mordował. Przy budowie lotniska, roboty ziemne i betoniarskie były bardzo ciężkie. Pracowaliśmy po 12-14 godzin na dobę, pilnowani przez Wehrmacht. Muszę zaznaczyć, iż żołnierze odnosili się do nas bardziej po ludzku niż SS-mani w Gross-Rosen, że na ich interwencję został odwołany Schulc oraz że utrzymanie było w brzegu nieco lepsze niż w Gross-Rosen. Chorych odsyłało zawsze do obozu w Gross-Rosen i stamtąd przysyłano nowych więźniów, tak by stale było w Brzegu 1000 osób. W okresie od 7.8.1944 do 15.1.1945 zmarło przy pracy lub zostało zakatowanych 48 lub 49 więźniów. Przy pracy bili nas kłosem, rzadko żołnierze z Wehrmachtu. Pamiętam, iż najbardziej znęcał się nad więźniami kapo Henryk Zawierucha, więzień kryminalny, Polak pochodzący z Sosnowca, syn szewca. Był to człowiek młody, około 25 lat, średniego wzrostu, blondyn. Nękały więźniów wielogodzinne apele. Jako kary stosowano: wypędzanie całych bloków do stania zimą i nie zawsze w ubraniu. Karne ćwiczenia np. tarzanie się po śniegu czy błocie. Kara 25 kijów. Zdarzały się próby ucieczki. Złapanych bito, zamykano w bunkrach, poczem odsyłano na wykończenie do obozu w Gross-Rosen. Wśród więźniów, mimo ucisku nie odczuwało się załamania. Pomagaliśmy sobie wzajemnie. Nawiązaliśmy kontakt ze światem zewnętrznym, skąd otrzymywaliśmy wiadomości. Elektrotechnicy spreparowali potajemnie radio. Była na terenie obozu organizacja AK utrzymująca kontakt z Łodzią.

Wieczorem 24 grudnia 1944 roku panowała wśród więźniów powaga, a zarazem radosne podniecenie - to chyba już ostatnia wigilia przed nieuchronną klęską hitlerowskich Niemiec. Coraz częściej dochodzą nas wiadomości o zbliżaniu się ofensywy wschodniej i dużej aktywności frontu zachodniego. Kilkakrotnie budzą nas dalekie wybuchy bomb lotniczych i wycie syren alarmowych. Niebo było całe usiane spadochronami oświetlającymi cele bombardowania, Brzegu i Opola. Rozochoceni więźniowie chyłkiem wymykali się z baraków witając jutrzeńkę wolności.

W wieczór wigilijny wszyscy byliśmy jakoś dziwnie podnieceni. Kolacja w każdym baraku była bardziej uroczysta, wszyscy ogoleni, ba nawet te pasiaki są jakoś oporządzone. Stół nakryto papierem z ukradzionych worków po cemencie. Następuje dzielenie się chlebem, składanie życzeń. Ktoś cicho intonuje kolę-

dę "Bóg się rodzi". W oczach więźniów łyży. Władek Sankowski od-
czytał okolicznościowy wiersz. Nastrój jest podniosły. Wszyscy
padają sobie w objęcia, całują się ściskają, ale myśli wszyst-
kich biegną do rodzin w Polsce, do swoich najbliższych i naj-
droższych. To już nie długo. To musi się skończyć!

We wszystkich blokach, do późnej nocy słysząc szepty modlitw,
ciche śpiewy kołęd, wymiana poglądów, myśli i snucie planów na
przyszłość. Nikt nie kładzie się na prycze, wszak jutro wyjątko-
wy dzień, więźniowie są zwolnieni z pracy.

W pierwszy dzień świąt 25 grudnia w magazynie ubrań /magazy-
nier dr Witold Mączka/ ruch ogromny. Władek Osto-Suski przygo-
tuje pochód karnawałowy na dzień 31 grudnia. Z cywilnych ciuchów
wyczarowuje kostiumy karnawałowe. Władek Osto-Suski przebiera
się za zakonnika, w habicie ze starego koca. Ktoś wykorzystuje
stary kozuch dla niedźwiedzia. Władek Sankowski jako halabard-
nik prowadzi kilkudziesięciu przebierańców przed główną bramę
obozu. Muzykanci, skrzypki, piszczałki, blaszane talerze w cha-
rakterze werbli, zaczynają grać. Straż obozowa - esesmani i żoł-
nierze - zwabieni hałasem i wrzawą wychodzą przed bramę obozu.
Zakonnik /Osto-Suski/ z krzyżem w ręku uroczystie błogosławi ze-
branych esesmanów i żołnierzy. Halabardnik /Sankowski/ zatrzy-
muje pochód, uspokaja niedźwiedzia trzymanego na łańcuchu, uci-
sza hałaśliwą orkiestrę i rozpoczyna uroczystą przemowę z życze-
niami w języku polskim dla stojących po drugiej stronie drutów
esesmanów, żołnierzy i wartowników. Przedmowa ma mniej więcej
tę treść: "O ty waleczny narodzie, stojący za drutami o wysokim
napięciu, z bronią gotową do strzału przeciwko tym biednym, ale
bogатыm w miłość ojczyzny tłumem więźniów, przyjmij życzenia
najlepsze - pozostań za drutami jak najdłużej, niech druty o wy-
kim napięciu strzegą was i wasze rodziny, przed gniewem Boga,
bo przed gniewem narodów nic was nie ustrzeże".

Następnie zakonnik błogosławił i cały pochód ruszył do po-
szczególnych baraków, składając prawdziwe i szczere życzenia
współwięźniom.

W tym momencie dobiegł do halabardnika Rapportführer i grożąc
palcem po nosie groźnie ostrzegał: "weiter, aber ohne politisch".

Od baraku do baraku pochód przebierańców przeszedł wszystkie
bloki, a na zakończenie obsługa kuchni wszystkim komedianom da-
ła ekstra po misce zupy.

W dniu 22 stycznia 1945 roku ewakuowano komando Brzeg do
oboza w Gross-Rosen, częściowo pieszo, po przejściu kilkudzie-
sięciu kilometrów, dalej odkrytymi wagonami w ciągu 4 dni. Ko-
mando prowadził Wehrmacht, po drodze więźniów nie rozstrzeliwa-
no.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.11.3.5.

SKOŃCZYŁA SIĘ MOJA NIEWOLA

Pamiętam jak każdej wolnej niedzieli spotykaliśmy się w jednym z baraków. Spośród najbliższych pamiętam Mietka Dukalskiego - oficera marynarki, którego powszechnie nazywaliśmy Matrosem, Mietka Kozubowskiego o pseudonimie "Mocara", Konrada Polana, Kubańskiego oficera zawodowego z 74 pułku w Lublinie, Stawowego /Banaszewskiego/ zrzutka z Anglii, wysokiego Zbyszka, którego nazwiska nie pamiętam. Do grupy naszej w późniejszym czasie doszedł Faust i Więckowski z partyzantki "Barabasza" oraz Edmund Bralik i kilku innych kolegów, z którymi mniej się żyłem. Ich nazwiska uleciały mi z pamięci. Opowiadaliśmy sobie warszawskie dzieje. Snuliśmy plany na najbliższą przyszłość. Owocem tych cichych zebrań było stworzenie organizacji, która miała przy zbliżaniu się wojsk wyzwoleniczych przeszkodzić w mordowaniu więźniów i przyspieszyć nasze wyzwolenie.

Tak na ciężkiej pracy, przy łopacie i kilofie mijał nam dzień za dniem. Ludzie zaczęli chudnąć i słabnąć. Paczki otrzymywali jedynie ci, którzy pochodzili z poznańskiego i Śląska. Nam z Warszawy opowiadano o powstaniu i zburzeniu stolicy i o wyniszczeniu połowy ludności w czasie toczących się walk. Wiadomości pochodzące ze źródeł niemieckich uważaliśmy za propagandę jedynie, mającą na celu zabicie w nas ducha i wiary w przyszłość.

Jedzenie jak na warunki obozowe, mieliśmy znośne. Przysługiwał nam dodatek dla ciężko i długo pracujących. Kierownictwo naszej kuchni znajdowało się w rękach Czechów, którzy znali się na kuchni i dość smacznie przyrządzali nasze skromne potrawy.

Tymczasem zbliżały się święta Bożego Narodzenia. 13 grudnia chwycił pierwszy mróz i spadł śnieg. Pogoda była prześliczna. Myśli nasze kierowały się ku najbliższym, ku rodzinom, od których większość z nas nie miała żadnych wiadomości. Wspominaliśmy święta spędzane wśród najbliższych przy wigilijnej wieczerzy. Postanowiliśmy i tutaj spędzić wieczór ten jak najbardziej po polsku, w gronie serdecznych przyjaciół.

W wigilię zebraliśmy się u naszego pisarza Arnolda Kubańskiego z Piekar Śląskich. Był to ppor. 74 Górnośląskiego Pułku Piechoty. Otrzymywał on obfite paczki. Ich zawartość pozwoliła na przygotowanie wieczerzy wigilijnej dla grona przyjaciół. Była także choinka i był opłatek. Zebrało się nas 12. Łamiąc się opłatkiem życzyliśmy sobie wzajem szybkiego oswobodzenia, wolnej i niepodległej Polski i szczęśliwego powrotu do domu. Każdy z nas miał w tej chwili oczy pełne łez. Każdy myślał o zebranych przy wigilijnym stole rodzicach, rodzeństwie, żonach i dzieciach. Patrząc na nas rozrzewnionych i zapłakanych trudno byłoby uwierzyć, że jesteśmy żołnierzami, którzy przez 5 lat walczyli dzielnie z Niemcami i twardo znosili szykany i tortury gestapowców. Tak złączeni wspólną niedolą i wspólnymi marzeniami, przy polskiej kolendzie i polskiej poezji doczekaliśmy północy. O pół-

nocy przyszedł do nas policjant obozowy Rosjanin Wasyż. Oświadczył on, że wprawdzie jest komunistą i niewierzącym, ale chciałby nam złożyć i w imieniu własnym i swego kraju życzenia płynące ze szczerego serca.

Oficjalne święta mieliśmy w niedzielę i poniedziałek. W tych dniach otrzymaliśmy, jak na warunki obozowe, bardzo dobre jedzenie, gulasz i kotlety. Kucharze mieli pełne ręce roboty. Na niedużych patelniach musieli usmażyć około 1500 kotletów. Poszedłem do nich wraz z serdecznym kolegą obozowym Jasiem Chmielą z Ostrowa Wielkopolskiego. Z Jasiem dzieliłem łóżko. Składaliśmy obaj zmęczonym kucharzom serdeczne życzenia. Korzystając z tego, że Jaś trzymał pocziwego Czecha w objęciach, ładowałem do kieszeni usmarzone kotlety. Z kolei uczynił to samo Jaś, gdy ja trzymałem kucharza w objęciach. Wycałowawszy wszystkich kucharzy Czechów i dwóch Polaków pracujących w kuchni Trełę i Rościszewskiego, wróciliśmy do swego baraku, by zrobić przegląd zdobyczy. Okazało się, że mamy 10 kotletów. Mieliśmy używanie jak się patrzy.

Niestety święta się skończyły, a my wróciliśmy do smutnej rzeczywistości i ciężkiej pracy.

Codziennie ten sam apel poranny, ustawianie kolumn do pracy, bicie naszego wszechwładnego starszego lagru, bezlitosnego Niemca nazwiskiem Schneider i jego "dziewczynki do wszystkiego", Rosjanina Koli. Sekundował im niegorzej lager kapo Rura z Poznania. Fama o nim głosiła, że był przyczyną śmierci około 30 więźniów w Oświęcimiu. Wspólnie z nimi planował ucieczkę z obozu i w ostatniej chwili ich wydał.

Pewnego dnia po normalnym apelu "Raportführer" krzyknął: "Schloser eintreten" - ślusarze wystąp. Był przesąd w obozach, aby na ochotnika nie zgłaszać się, ponieważ nigdy nie było wiadomo, co Niemcom do głowy przyjdzie. Bywały wypadki, że ochotników zabierano do najcięższych robót i specjalnie szykanowano. Tym razem więc także nie było ochotników. Wystąpiłem pierwszy. Miałem dość pracy przy kilofie i łopacie. Za mną pośpieszyło kilkadziesiąt innych. "Raportführer" podszedł do mnie pamiętając, że zgłosiłem się pierwszy i odliczył wraz ze mną 20 więźniów. "Von heute Werkplatzkomando" - /od dzisiaj oddział warsztatowy/ - oznajmił. Początkowo nie wiedzieliśmy na czym polegać ma nasza praca i jaki nas spotka los. Po paru dniach stwierdziliśmy, że jesteśmy na całej linii wygrani. Skończyła się nasza makabryczna praca w polu. Byliśmy grupą, która naprawiała w polowym warsztacie sprzęt budowlany. Znaleźliśmy się w lepszych warunkach niż reszta więźniów. Pracowaliśmy częściowo pod dachem. Zespół ludzi przypadkowo dobranych okazał się wyjątkowym. Była to gromadka zgrana, koleżeńska, fizycznie jeszcze sprawna, a nade wszystko wiedząca za co siedzi w obozie. Zaprowadziliśmy w naszym komandzie prawie wojskowy rygor. Byliśmy świadomi, że samodyscyplina ułatwi nam przeżycie obozu. Nie było u nas krzyków, nawoływań czy szturchańców, jak to miało miejsce w innych komandach. Jedzenie było dzielone sprawiedliwie, nie dopuszczano do tak zwanego wylizywania kotków. Kapo, którym ja byłem, pracował na równi ze wszystkimi i jego funkcja ograniczała się do zrobienia zbiórki, zdania raportu, rozdziału jedzenia i innych porządkowych obowiązków.

Właśnie nasze komando sprawiło, że kapowie z wyjątkiem nielicznych rzucili pałki, z którymi do tej pory nie rozstawali się.

Pracowaliśmy pod nadzorem Niemca mówiącego gwara śląską o nazwisku Paul Młoczek. Był on hakatystą, ale w gruncie rzeczy bardzo dobrym człowiekiem. Był sprawiedliwy. Opowiadał, że jemu Polacy w czasie powstań śląskich wyrządzili wielką krzywdę, ale on nie jest powołany do tego, aby się mścić. Wymagał od nas dużo, ale również chronił nas jak tylko potrafił i prawie codziennie dzielił się z którymś z nas swoim skromnym śniadaniem.

Drugim nadzorcą był majster Kopaczka - Volksdeutsch. O tym tego co o kowalu Młocku powiedzieć nie można. Był nierówny bojaźliwy i niczego dobrego po nim spodziewać się nie mogliśmy. Mimo to nikogo nie skrzywdził i nikomu nie zaszkodził. Był jeszcze jeden majster Niemiec i jeden robotnik wolnościowy Polak. Ten mimo małych możliwości pomagał nam ile mógł i jak mógł. Nad całością czuwał tak zwany "Maschinenmeister" - Niemiec, z którym prawie nie mieliśmy kontaktów. Z pośród kolegów zatrudnionych wraz ze mną zapamiętałem jedynie kilku, a mianowicie: zatrudnionego w charakterze kowala Romana Kucińskiego, Eugeniusza Wiśniewskiego /Kwiatkowskiego/, Arkadiusza Kurzynogę, Feliksa Frelka, Edwarda Podgórskiego, Mieczysława Makówczyńskiego, Franciszka Suchenka, oraz stolarza Wilczyńskiego, który był zatrudniony stale przy struganiu palików, potrzebnych do wytyczania robót ziemnych.

Oprawialiśmy łopaty i kilofy w nowe trzonki, naprawialiśmy także wagoniki służące do przewożenia piasku na budowie. Wykonywaliśmy oprócz tego szereg innych czynności warsztatowych przy naprawie sprzętu budowlanego. Niejednokrotnie zabierano nas jednak do rozładowywania wagonów z cementem, względnie z żelastwem, czy materiałem budowlanym. Mieliśmy wówczas sposobność porównania naszej spokojnej i lekkiej pracy z tą wyładunkową brudną i ciężką. Zdawaliśmy sobie jasno sprawę, że znajdujemy się w o wiele lepszych warunkach od reszty kolegów z innych komand. Docenialiśmy to i dokładaliśmy wszelkich starań, aby utrzymać skład personalny naszego komanda bez zmian.

Wśród naszej eskorty lotniczej też byli ludzie zupełnie znośni i wyrozumiali. Byli to starzy żołnierze, nie dbający o wielkość i potęgę III Rzeszy, a jedynie o własną skórę. Pilnowali nas bo musieli i głową byli za nas odpowiedzialni. Był wśród nich mały lotnik nazwiskiem Keil - komunista niemiecki. Niejednokrotnie, gdy nikt niepowołany tego nie widział, ciskał karabin o ziemię i mówił "Schess auf alles". On także prosił, abyśmy planując ucieczkę brali jego osobę pod uwagę i nie zostawiali go w obozie. Zaskakujące były te wynurzenia, ale prawdziwe.

Mieliśmy możliwość robienia z kawałków plexi pudełek do papierosów, czy do tytoniu. Doskonale wykonywał je Genek Wiśniewski. Ja je ozdabiałem grawerując monogramy i przebite strzałą serca. Odbiorcami tych pudełek i pierścionków byli wachmani, którzy płacili za nie chlebem. I pod tym względem byliśmy wygrani. Komando nasze było znane w całym obozie i wśród eskorty lotniczej. Szczególnie rzucał się w oczy nasz wygląd zewnętrzny, maszerującej dziarsko i sprawnie kolumny. Chodziliśmy sprężystym, wojskowym krokiem, śpiewając polskie piosenki, a wśród nich "Marsz, marsz Polonia". Byliśmy elitą obozu, przyczyną zazdrości jednego więźnia.

Tymczasem mijał tydzień za tygodniem. Miejsce naszego starszego lagru Sznajdra zajął zupełnie znośny niemiecki Ślązak mó-

wiały słabo po polsku Robert Nocon. Nie wierzył on, jak większość naszej załogi w zwycięstwo armii niemieckiej i spełniał swoją funkcję jedynie tak, aby władze obozowe nie miały do niego pretensji. Po Zbyszku Kamińskim funkcję pisarza objął sędzia Suchowiak z Poznania. Nic mu nie można było zarzucić.

Postanowiliśmy nie czekając na rozstrzygnięcie z zewnątrz zorganizować ucieczkę. Widzieliśmy kilkakrotnie jak bito i torturowano schwytanych uciekinierów. W czasie wieczornego apelu pokazywano nieszczęśliwca całemu obozowi. Miał on na głowie czapkę błazna i był pomazany czerwoną farbą. Szedł za orkiestrą i nieustannie bity po plecach i głowie musiał krzyczeć: "Ich bin wieder da. Ja udiraß, mienia wiernuli. Ja uciekałem i zła-pali mnie". Ten straszny widok nie przestraszył nas i nie zachwiał naszym postanowieniem. Wysilaliśmy natomiast inteligencję dla obmyślenia najskuteczniejszego sposobu ucieczki.

Tymczasem życie obozowe toczyło się dalej. Pracowaliśmy mimo zimna i deszczy w naszych pasiakach 12 godzin dziennie. Izba chorych, gdzie ordynował dr Łukawski wypełniła się do ostatnich granic. Revierkapo był Kuździół, typ z pod ciemnej gwiazdy. Niejeden więzień obiecywał mu po wyjściu na wolność stryczek. Początkowy stan 40 chorych powiększył się do 160 i rósł z każdym dniem. Doktor Łukawski wychodził ze skóry, aby pomóc chorym. Był ginekologiem, czy pediatrą, a w obozie dokonywał nawet poważnych operacji i to z dobrym skutkiem. Nieszczęście chciało, że do naszej izby chorych przysłano nowego sanitariusza o nazwisku Dolata. Pochodził on z Ostrowa Wielkopolskiego. Miał zaprowadzić w naszej izbie chorych wzorowy porządek. Dolata, mniej więcej 25-letni młodzian, rozpoczął swe rządy od mordobicia wszystkich, począwszy od lekarza. Dzielnie mu w tym pomagał sanitariusz Ludwig. Całe szczęście, że Dolata pobił także drugiego sanitariusza Władka Suskiego, aktora z Warszawy. Suski, który w obozie organizował teatr, miał względy Noconia. Dolata, po kilku tygodniach rządów w rewirze został odtransportowany do centrali w Gross-Rosen.

5 stycznia 1945 roku o godzinie 5 rano na nasze komando za drutami czekał już samochód ciężarowy "Opel-Blitz" z przyczepą. Nowe "Schokoladen komando" powstało przed niewielu dniami. 30 więźniów wyjeżdżających codziennie 16 km do Loewen, do robót przy porządkowaniu i urządzaniu magazynów żywnościowych, ewakuowanych ze wschodu. Kilku kolegów, którzy byli w nim od początku twierdziło, że właśnie z tego komanda istnieją realne szanse ucieczki. Codziennie kilku wtajemniczonych powiększało szeregi komanda, a inni musieli je opuścić. Ja byłem jednym z ostatnich, którzy zamknęli listę wtajemniczonych w ucieczkę.

5 stycznia jak codziennie, podszedł do naszej grupy Lagerältester Robert Nocon by osobiście, po dokładnym obliczeniu, wypuścić naszą grupę za bramę. Tym razem tknięty jakimś podejrzeniem obrzucił nas krytycznym wzrokiem i widząc samych młodych ludzi, jak na stosunki obozowe dobrze trzymających się i dobrze prezentujących, ludzi do których nie miał specjalnego zaufania, oddzielił dwie piątki więźniów a na ich miejsce przydzielił innych - starych i słabych fizycznie. Przydzielił nam również nowego, swego zaufanego kapo Henryka Zawieruchę.

Po przyjeździe na miejsce i błyskawicznej, cichej naradzie, postanowiliśmy mimo wszystko uciekać. Decyzję dyktowało zdenerwowanie kolegów wskutek kilkakrotnego odkładania terminu uciecz-

ki i groźba wsypy. Mimo surowego zakazu niektórzy z nas zaczęli w obozie rozmawiać między sobą o planach ucieczki. "Nowych" postanowiliśmy nie wtajemniczać licząc, że w decydującym momencie będą posłuszni naszemu rozkazom.

Praca nasza w tym dniu ograniczała się jedynie do przeniesienia kilkudziesięciu skrzyń z koniakami i winem oraz do uporządkowania magazynu. Następnego dnia miała się odbyć inspekcja jakiegoś generała. Wachmani, którzy zazwyczaj pilnowali nas wewnątrz, tym razem zaciągnęli posterunki na zewnątrz magazynów, ale że był silny mróz wpadali co chwilę do środka, by nieco rozgrzać się przy piecyku. Okoliczność tą wykorzystywali koledzy. Wyciągnęli z przenoszonych skrzynek kilka butelek koniaku i kolejno wręczali po butelce wachmanom. Ci zadowoleni, nie bacząc że to kradziona własność III Rzeszy, chwyтали potajemnie butelki i ulatniali się na zewnątrz. Zwykle pracowaliśmy do późnego wieczora, ale tym razem skończyliśmy około 13. Do normalnego powrotu do obozu mieliśmy kilka godzin. Po sprawdzeniu obecności załadowano nas do samochodu. Podchmielonych i wręcz pijanych wachmanów szybko zdołaliśmy namówić, aby przenieśli swoje taborety z otwartej przyczepy do nas pod plandekę, gdzie ciepło i zacisznie. Sam, wsiadając jako jeden z ostatnich, zająłem miejsce na klapie, trzymając się zrolowanej plandeki. Odjechaliśmy.

Po drodze nasz śpiew i radosny nastrój udzielił się podchmielonym wachmanom. Śpiewaliśmy swoje żołnierskie piosenki. Kilkaście minut po wyruszeniu, korzystając z tego wesołego nastroju i nieuwagi błyskawicznie zaciągnąłem plandekę z okrzykiem - "Chłopczy! Dusić ich!". Koledzy rzucili się na wachmanów. W parę minut później byli już powiązani przygotowanym wcześniej drutem i cicho rzęzili przez zakneblowane własnymi szalikami usta. "Nowi" z przerażeniem patrzyli nie rozumiejąc nic z tego co się działo.

Teraz należało obezwładnić podoficera i kierowcę jadących w szoferce. Przy piosence "Marsz, Marsz Polonia" główny organizator ucieczki Mietek Dukalski, oficer marynarki wojennej, zaczął bębnić w ścianę szoferki. Po kilku uderzeniach wóz zatrzymał się. Pechowo. Zakryci plandeką nie zauważyliśmy, że przejeżdżamy przez jakąś osadę i teraz samochód stał przed niemiecką zagrodą. Natychmiast po zatrzymaniu skoczyliśmy na ziemię z kolegą Zygmuntem Ulfikiem mówiącym doskonale po niemiecku. Dowódca eskorty widząc nas koło wozu wyciągnął pistolet, jednak Uflik zdołał mu szybko wyjaśnić, że pijani wachmani pobili się między sobą. "Ach, mein Gott" - wykrzyknął chowając pistolet do kabury i ruszył do tyłu pudła. Z Zygmuntem i kilku kolegami, którzy zdążyli wyskoczyć na ziemię, rzuciłem się na niego. Inni, już uzbrojeni, obezwładnili kierowcę, który jedynie prosił o darowanie życia, tłumacząc że ma żonę i dzieci.

Tymczasem podoficer widząc co się dzieje, bronił się z niebywałą siłą. Nawet w kilku nie mogliśmy wciągnąć go pod plandekę. Dopiero cios między oczy obezwładnił go. Z zamieszania skorzystał nasz kapo. Wyskoczył z auta i zaczął uciekać w stronę niemieckich zabudowań. Po chwilowej konsternacji wywołanej jego ucieczką postanowiliśmy nie bacząc na nic jak najszybciej jechać, by jeszcze przed zorganizowaniem pościgu przejechać most na Odrze w Opolu. Za kierownicą zasiadł Mietek Makówczyński prowadząc brawurowo samochód na zmianę z Edkiem Podgórskim.

Rozdzieliwszy broń, przebrani w czapki i płaszcze wachmanów,

podzieliwszy się funkcjami, przygotowani na wszystko, wjeżdżaliśmy do Opola. Z bijącym sercem i duszą na ramieniu, przejechaliśmy długi most na Odrze. Jechaliśmy obok posterunku żandarmerii, przy którym kontrolowano dokumenty. Nasz kierowca dodał gazu i nie zatrzymany przez nikogo, przeskoczył Odrę. Szczęśliwi, ale w wielkim strachu patrzyliśmy przez szpary w plandecie jak stojący na moście żandarmi patrząc ze zdziwieniem na pędzący wóz, zapisywali jego numer.

Z pewną ulgą i nadzieją na dalszą szczęśliwą podróż jechaliśmy już wolniej przez ulice miasta. Ściskając zimne lufy karabinów patrzyliśmy z przerażeniem na rojące się masy niemieckiego żołdactwa. Jeden niebaczny ruch, jedno nieostrożne zachowanie się któregoś z nas lub niemiecka kontrola mogły doprowadzić do zguby. Odetchnęliśmy nieco, gdy zniknęły nam z oczu zabudowania Opola i wjechaliśmy na szosę prowadzącą wśród lasów do Gutentag. Liczyliśmy minuty i mijane kilometry.

Na 16 kilometrów ujrzeliśmy pędzące za nami auto ciężarowe. Maleńki z razu punkcik rósł z każdą minutą. Oczywiście wyobraźni widzieliśmy w pędzącym samochodzie zorganizowaną przez kapo pogon. Niektórzy widzieli stojących na stopniach uzbrojonych żołnierzy.

Mimo dość znacznej szybkości naszego "Opla" odległość malała z każdą chwilą. Teraz nie było już żadnej wątpliwości - przynajmniej w naszej strachem wyolbrzymionej imaginacji - że pędzą za nami pościgowe samochody żandarmerii. Ogarnęła nas panika. Jedni krzyczeli by skręcić w las, inni by zatrzymać wóz. Tymczasem kierowca nie wiedząc co się dzieje, a słysząc nasze bezładne rozkazy, zatrzymał samochód. Wystarczyło. Wszyscy zaczęli wyskakiwać z pudła i uciekać do lasu. Na skraju lasu dopiero obejrzałem się i zobaczyłem, że to nie był pościgowy samochód żandarmerii a zwykła wojskowa ciężarówka z kilkoma żołnierzami. Było już jednak za późno. Obezwładnieni wachmani odblokowali sobie usta i zaczęli przeraźliwie krzyczeć. Żołnierze usłyszawszy krzyki i widząc uciekających, zatrzymali się i uwolnili wachmanów. My uciekaliśmy gęsiego do lasu.

Sytuacja była beznadziejna. Wiedzieliśmy, że oprócz tortur czeka nas jedynie stryczek. Pędziliśmy na oślep. Byle dalej od szosy. Z wywieszonymi językami, potykając się o korzenie, raniąc twarze niskimi gałęziami. Zygmunt Uflik i Tadeusz Kowalski widząc beznadziejność takiej gremialnej ucieczki oddzielili się w nadziei, że we dwóch łatwiej im będzie się ukryć i odskoczyć.

Po jakimś czasie podeszliśmy do skraju jakiś zabudowań. Ujrzeliśmy dwóch ludzi. Myśleliśmy że to Uflik i Kowalski i bez obawy zaczęliśmy się zbliżać. Niestety był to patrol Volkssturmu, który przyjął nas ogniem karabinów. Znowu pędziliśmy w panicznym strachu. Uciekając byle prędzej i byle dalej widziałem jak śmiertelnie ranieni padli koledzy Zdybański z Krakowa i Raszewski z Warszawy. Strzelano z różnych kierunków, a więc był to już zorganizowany pościg.

Jeszcze kilkaset metrów i odskoczyliśmy. W gęstej Kępie drzew zatrzymaliśmy się, by odsapnąć i opracować jakiś plan. Ucieczka w gromadzie nie miała szans. Podzieliliśmy się na grupy. Ja znalazłem się wśród czterech innych kolegów, z których zapamiętałem tylko "Poldka" Apolinarego Pawlaka i Władka San-kowskiego z Warszawy.

Zapadał zmrok. Poczekaliście aż zrobi się zupełnie ciemno by

pod osłoną nocy wyslizgnąć się z otaczającego nas pierścienia szkopów. Wyszliśmy na skraj lasu. Instynktem wybraliśmy kierunek mgła bowiem zasłoniła gwiazdy. Czołgając się przez otwarte pole, metr za metrem, baczni na każdy odgłos i każdy krzak, posuwaliśmy się powoli naprzód. Gołe ręce dotykające śniegu i zamrażniętej ziemi były tak skostniałe i zbolące, że nie mogliśmy ich rozprostować. Pełznąąc powoli, nadśluchując i widząc w każdym krzaku czekającego w zasadzce wroga przebrnęliśmy szczęśliwie dwa kilometry otwartego pola. Zatrzymawszy się dla wytchnienia omal cudem uniknęliśmy spotkania z niemieckim patrolem, który przejechał koło nas na rowerach i motocyklu. Z dala dobiegły nas odgłosy strzałów i przeraźliwe, nie dające spokoju ujadanie psów.

Największą tragedią była nieświadomość kierunku marszu. Dzisiaj dopiero zdaje sobie sprawę, że kilka razy przeskakiwalismy tą samą szosę, kręcąc się w kółko. Gdy zaczęło świtać skierowaliśmy się w stronę konturów zabudowań, by może dzięki drogowskazowi zorientować się gdzie jesteśmy. Na skraju wsi ujrzeliśmy napis: "Nach Radan 4 km". Niestety to Radan nic nam nie mówiło. Dzień postanowiliśmy przeczekać w małym lasku, jakieś 500 metrów od zabudowań spodziewając się że tak blisko wsi Niemcy nie będą nas szukać. Zziębnięci i głodni, przemoczeni i przerażeni, przeleżeliśmy w śniegu sobotę - pierwszy dzień niefortunnej ucieczki.

O zmierzchu ruszyliśmy dalej. Podarkiem na kawałki duży węłniany szalik i owinałem otarte w drewniakach i skostniałe nogi. Szliśmy na przełaj omijając zabudowania, byle prędzej w nieznanym kierunku. Co pewien czas oglądaliśmy skrupulatnie mijane drzewa by po mchu poznać, gdzie jest północ. Niestety każde wskazywało inaczej. Został więc tylko instynkt i intuicja. Zmęczeni zatrzymywaliśmy się co chwilę i nie pomni na mróz zasypialiśmy kamiennym snem w śniegu, by po chwili obudzeni przez któregoś z kolegów, maszerować dalej.

W niedzielę rano głód okazał się silniejszy od strachu. Nie zwracając uwagi na niebezpieczeństwo rozgrzebaliśmy w jednej z zagród kopiec z ziemniakami. W gęstym zagajniku rozpaliliśmy małe ognisko i upiekliśmy kartofle. Pierwszy posiłek od piątkowego śniadania w obozie.

Po krótkim odpoczynku z Władkiem Sankowskim wybraliśmy się na zwiad. Przeszliśmy nie niepokojeni przez wieś i poszliśmy do następnej. Po 3-4 kilometrach ujrzeliśmy szosę. Weszliśmy na nią w nadziei że znajdziemy drogowskaz. Zaaferowani nie spostrzeżliśmy patrolu Volkssturmu, który obserwował nas chwilę i puścił się w pogoń na przełaj przez las, odcinając nam drogę odwrotu. Musieliśmy wydobyć z siebie ostatnie siły, by przed Niemcami dopaść zbawczej gęstwiny. Volkssturmiści wołając "Halt, halt" strzelali za nami z pistoletów, ale na szczęście niecelnie. Po kilkumetrowej pogoni i wystrzeleniu amunicji, zrezygnowali. Wolno już, przez największe gęstwiny, po paru godzinach udało nam się dobrać do legowiska kolegów. Jak zdołaliśmy trafić do dzisiaj trudno mi wytłumaczyć. Byliśmy tak zmęczeni, że wchodząc do zagajnika nie zatarliśmy śladów, co stało się przyczyną kolejnej wsypy.

Po dwóch kwadransach snu, jeden z kolegów szarpnął mnie za rękę, krzyknął mi do ucha "Wstawaj, ktoś idzie". Zerwałem się na równe nogi i uciekając w zagajnik usłyszałem ryk Niemca i

151/6r

strzał z karabinu. Na szczęście niecelny. Znow uciekaliśmy aż do zmierzchu. Dopiero zapadający szybko zmrok położył kres pościgowi. Biegając wraz z Władkiem Sankowskim zgubiliśmy resztę towarzystwa. Zostaliśmy we dwójkę. Oparci plecami o siebie siedzieliśmy półdrżąc i zastanawialiśmy się nad marnymi widokami na przyszłość. Nagle usłyszeliśmy ledwo dający się uchwycić uchem odgłos jadącego w oddali pociągu. Uznaliśmy go za ostatnią deskę ratunku. Postanowiliśmy tam pójść. Odpoczywając i zasypiając co pewien czas, nad ranem dotarliśmy do toru. Początkowo chcieliśmy czekać na przejeżdżający pociąg, by zorientować się czy jest szansa wskoczyć do niego lub zobaczyć tablicę z napisami miejscowości przez które przejeżdża, by wreszcie zorientować się gdzie jesteśmy. Po półgodzinnym czekaniu zmieniliśmy zamiar. Poszliśmy w prawo.

Idąc wzdłuż torów zobaczyliśmy idącego szybkim krokiem, również w naszym kierunku, pojedynczego człowieka. Zaczailiśmy się pod krzakiem i gdy zrównał się z nami wyskoczyliśmy. Po polsku zapytaliśmy się dokąd idzie. Ku naszemu zdziwieniu również po polsku odpowiedział, że jest Niemcem, ale mówi po polsku. Idzie na stację kolejową i chce jechać do Wrocławia, do synów, którzy tam służą w wojsku, a że we Wrocławiu panuje głód, więc wiezie im trochę jedzenia. Do pracy poza drutami nie wyjeżdżaliśmy w pasiakach, więc nie poznał w nas więźniów. Powiedział że tor prowadzi z Wossowskiej do Opola. Przed wojną mieszkałem w Lublińcu, miasteczku przygranicznym i orientowałem się w miejscowościach i liniach kolejowych po stronie niemieckiej, a nazwa Wossowskie nie była mi obca. Zapytałem jak daleko do Gutentag, Niemiec odpowiedział że daleko. Może ze 40 km, ale do Rosenberga jest tylko 10 km.

Otrzymałszy wskazówki, duży bochenek chleba, jak również przyrzeczenie że nikomu nie powie o naszym spotkaniu poszliśmy oddzielnie w tym samym kierunku. Zaczęło świtać. Z wielkim bochenkiem pod pachą wkroczyliśmy nieopodal małej stacyjki na szosę z drogowskim "Nach Rosenberg 10 km". Gdy dobrnęliśmy do wsi Kudobe zrobiło się zupełnie jasno. Na wieży drewnianego kościołka zegar wskazywał 6.50. Kilka kobiet i starców spieszyło na ranne nabożeństwo. Jedna z kobiet obejrzawszy nas podejrzliwie nie weszła z innymi do kościoła, lecz skręciła do restauracji. My pomaszerowaliśmy do kolejnej wsi Leibeichen. W połowie drogi minął nas na rowerze młody Niemiec. Baczenie na nas popatrzył, zawrócił i jechał za nami krok za krokiem. Obejrzawszy się zauważyłem, że lewą ręką trzyma się kierownicy, a w prawej trzyma duży pistolet. "Gerade aus". Wpadliśmy - szepnąłem do Sankowskiego niosącego nietknięty chleb. Pod eskortą doszliśmy do dwóch zabudowań. Zdołałem szepnąć: "i tak kula w łeb. Wiejemy przy tych chałupach. Ja w prawo, ty w lewo. Może uda się zwać". Skinieniem głowy Władek dał znać, że zrozumiał. Przy zabudowaniach skoczyłem w prawo z okrzykiem "Uciekaj!". Nie oglądając się dopadłem do zabudowań przesadziłem jakiś płot i gnałem do lasu. W połowie drogi obejrzałem się. Na drodze Władek kotłował się z Niemcem. Przez moment chciałem zawrócić, ale już po chwili widząc beznadziejność takiego kroku, pobiegłem do lasu. Goniąc resztkami sił przebiegłem może kilometr i dotarłem do leśnej drogi. Nauczony w wojsku przykląknę i obserwowałem drogę. To co zobaczyłem było gorzej niż straszne. O jakieś 300 kroków stał gajowy z karabinem czy fuzją gotową do strzału zwrócony w

moją stronę. Nie tędy. Cofnąłem się o kilkadziesiąt metrów, położyłem się pod gęstą kupą świerków i zakopałem w śnieg tak, że jedynie czubek głowy było mi widać. Modląc się i nadsłuchując czekając na dalszą kolej wypadków.

Każda usłyszana z daleka rozmowa, przejazd furmanki, czy oczekiwanie psa było straszną udręką. Po godzinie, może dwóch, usłyszałem głośnie rozmowę, z której zdołałem wyłowić jedynie: "wo ist der verfluchte bandit". Nie miałem wątpliwości że i tu w las wyruszyły patrole. Przysypany całkowicie śniegiem, przecze-kałem cały poniedziałek. Dopiero w nocy ruszyłem na Rosenberg. Leśną drogą, na której 12 godzin temu ujrzałem czyhającego na mnie gajowego. Było mi wszystko jedno. Nie dopatrywałem się w każdym krzaku Niemca. Szedłem zobojętniały, podśpiewując jedynie dla dodania sobie otuchy "Wiśta, wio siwku biały" piosenkę nuciącą w obozie, a przywiezioną przez partyzantów z oddziału "Barabasza".

Brodząc po kolana w śniegu ujrzałem migotliwe światła Rosenberga. Do miasta wszedłem od strony targowiska, między dziesiątkami straganów. Na dalekim zegarze wybiła 11 w nocy, gdy zawyły syreny. Alarm lotniczy. Wszystko co żyło, zamarło. Błądząc opustoszałymi ulicami dotarłem na dworzec. Biła 12. Wokół nie było żywej duszy. Dopiero na torach dojrzałem dwóch kolejarzy przecaczających mimo alarmu wagony z bydłem i świniami. W nocnej ciszy słychać było tylko ryki głodnych krów i kwik świń. Stojąc na rampie, z bezpiecznej odległości, zapytałem po niemiecku kolejarzy, o której najbliższy pociąg do Lublińca, nie wiedząc, że Lubliniec przemianowano, od pierwszych dni niemieckiego panowania na Loben. Niemcy zaczęli szwargotać między sobą, co zaniepokoiło mnie i wreszcie jeden z nich odpowiedział: "Och, nach Loben. Ja um halb sechs".

Nie wiedziałem co robić do wpół do szóstej. Chwytał mróz. Zmoczony ubranie zeszytywniało i ocierało mi niemiłosiernie nogi i szyję. Zdecydowałem się wejść do wagonu ze świniami i w objęciach świnki, grzany jej ciepłem, zasnąłem kamiennym snem. Gdy obudziłem się i opuściłem przytulny i ciepły wagon, na stacyjnym zegarze widniała szósta. Mój pociąg do Lublińca odszedł. Zrozpaczony nowym niepowodzeniem, stanąłem po prawej stronie budynku stacyjnego pod płotem, obok wózka naładowanego bankami z mlekiem. Zamyślony nie zauważyłem jak do torów zbliżył się jakiś człowiek i głośno spytał po polsku - "tyś to mleko przywiozł?" Ja - odparłem bez namysłu. "No to dawaj je". Chwyciłem oburącz bankę, ale nie miałem siły udźwignąć jej. Obserwując moje niezdarne wysiłki nowo przybyły z niedowierzaniem rzekł: "E, to nie ty przywiozłeś. Co tu robisz?". Nie namyślając się powiedziałem że uciekłem z robót z Niemiec i jadę do Polski, ale najpierw do Lublińca. Wyznał mi, że on pochodzi z pod Częstochowy "od Krzepic" i tutaj jest na robotach. Powiedział również, że następny pociąg do Lublińca odejdzie o 8.30 i pojedzie w tym kierunku, tu machnął ręką. Dowiedziałem się jeszcze od niego ile kosztuje bilet i chciałem pożyczyć pieniądze na bilet, ale sumitował się że nie ma przy sobie ani feniga. Rozmawiając z nim doczekałem nadejścia pociągu i wsiadłem do pociągu, wraz z kilkudziesięcioma Niemcami. W moim przedziale znalazł się żołnierz Wehrmachtu i dwaj cywile.

Wcisnąłem się w róg przy oknie, aby ukryć moje rzucające się w oczy ubranie. Miałem na sobie mundur belgijski koloru khaki,

popielate spodnie bryczesy, a na nogach drewniaki. Na rękawach i spodniach olejną, czerwoną farbą wymalowane pasy, a na plecach takiż czerwony krzyż. Na głowie dwucentymetrową ścieżkę od czoła do szyi, zasłoniętą czapką narciarką. Jeszcze w niedzielę rano popiołem z ogniska uczerniłem farbę, ale do dzisiaj nie wiem, czy Niemcy nie zauważyli malowanych znaków, czy nie chcieli zauważyć. W każdym razie skulony w kącie dojechałem około 10 rano do Lublińca. Znałem to miasto z przed wojny.

Po zatrzymaniu się /pociąg kończył swój bieg/ poczekałem chwilę i skierowałem się do wyjścia, lecz torami obok parowozowni, w stronę Sadowia. Na skrzyżowaniu ulic, koło domu ewangelickiego, z dala ujrzałem patrol żandarmerii, legitymujący wszystkich. Zdołałem nie zauważony skrócić i pójść znaną ścieżką wśród domów. Postanowiłem dotrzeć do państwa Gajowskich, na ulicę Mickiewicza. Znałem ich sprzed wojny i wiedziałem, że w czasie okupacji mieszkali na starym miejscu. Gajowscy należeli przed wojną do elity kupieckiej Lublińca i byli uważani za Polaków. Mieszkał u nich porucznik Andrzej Gacek, mój kolega i stąd znałem panią Gajowską i jej siostrzenicę Lizabeth.

Panią Gajowską ubraną w biały fartuch spotkałem w bramie. Śmiało zapytałem ją po niemiecku, czy mnie poznaje. Odpowiedziała, że nie. Wyjaśniłem już po polsku, że jestem Jerzy Tęsiorowski. Poznała mnie. Wyznałem, że uciekłem z obozu i zapytałem, czy mogę u niej coś zjeść i nieco odpocząć. Rzuciła po niemiecku "Jest to niemożliwe" i odwróciła się. Lizabeth słysząc naszą rozmowę wyskoczyła ze sklepu, chwyciła mnie pod rękę i ze słowami: "Jurek, komm auf Eierkoniak" /popijaliśmy go przed wojną/ poprowadziła na pierwsze piętro do mieszkania. Zobojętniały dałem się prowadzić. Zamknęła za nami drzwi na klucz mówiąc: "żeby tylko wujek ciebie nie zobaczył, bo zrobiłby ci krzywdę. To taki niedobry człowiek". Dała mi gorącej herbaty oraz chleba z masłem i bekonem. Pierwszy posiłek od 5 dni. Nic więc dziwnego, że nie zważając na konsekwencje zjadłem całą moc chleba i wypilem jeszcze więcej herbaty. Z rozmowy z Lizabeth dowiedziałem się, że niedaleko mieszka nadal żona mego przyjaciela, kapitańska Żmuda. Postanowiłem że tam pójde. Na odchodnym zapytałem Lizabeth, czy przypadkiem nie ma wódki. Wyciągnęła z kredensu butlę altwasseru, z której kropnąłem 4 czy 5 kieliszków. Teraz świat przedstawiał się w innych barwach. Należał do mnie. Lizabeth dała mi na pożegnanie ciepłe skarpetki i pudełko sardynek. Pożegnałem ją czule, podziękowałem za gościnę i powiedziałem, że idę do Częstochowy, a potem w kierunku lasów świętokrzyskich, w rzeczywistości pomaszerowałem na ulicę Dworcową do pani Żmudowej.

Nie zauważony przez nikogo dotarłem do znanego mi sprzed wojny czerwonego budynku, przylegającego jedną ścianą do poczty. Z bijącym sercem zapukałem do drzwi i na polskie "proszę" nieśmiało wszedłem. Natychmiast rozpoznano mnie i przyjęto z gorącym sercem. W parę minut później, już umyty, siedziałem wśród grona bliskich znajomych i spożywałem obiad. Po niespełna godzinie spałem już twardym snem w czystym łóżku.

Obudził mnie ojciec pani Żmudowej, pan Grzegorzczyk, oznajmiając, przyszedł mój przedwojenny podoficer, obecnie porucznik Feliks Kubaś. Nie wierząc już nikomu, spytałem, czy nie jest przypadkiem Niemcem, ale uspokojono mnie, że jest w konspiracji i że specjalnie po niego posłano. Po kilku chaotycznych zdaniach

kazał mi ubrać się i iść za sobą do niego, gdzie jak twierdził, będzie bezpieczniej.

Kubasiowie mieszkali na drugim końcu miasta przy ul. Ks. Rórowskiego. Zajmowali 3 pokoje z kuchnią. W jednym mieszkał Schullrat w drugim jakiś niemiecki nauczyciel, a Kubaś z żoną i dwojgiem dzieci zajmował pokój z kuchnią. Dla mnie dostawiono łóżko polowe.

Następnego dnia Kubaś "zorganizował" fryzjera, który przyszedł późnym wieczorem, ogolił mnie i ostrzygł. Kolejnego dnia przyszedł do domu fotograf, by zrobić zdjęcie do kennkarty, o którą Kubaś już się, wiadomymi sposobami, starał. Organizował też dla mnie u znajomego nam z przed wojny aptekarza Eugeniusza Dyczkowskiego, potrzebne mi leki. Pierwszego dnia wrócił z niczym, gdyż w aptecce zastał gestapowców pijących wódkę. Byli zdenerwowani, ponieważ z Gross-Rosen uciekło 30 bandytów. Większość już złapano i teraz polują na resztę. W stan alarmu postawiono nie tylko gestapo i żandarmerię, ale również wojsko.

Za drugim razem Kubaś przyniósł leki i więcej informacji. Gestapo poszukiwało jeszcze tylko dwóch bandytów, bo resztę już wyłapano.

Mijały dni. Wtem gruchnęła wiadomość o rozpoczęciu przez wojska radzieckie zwycięskiej ofensywy nad Wisłą. W kilka dni później dowiedzieliśmy się o zajęciu Kielc, by następnego dnia usłyszeć o okrażeniu Częstochowy. Miałem właśnie otrzymać kennkartę i jechać jako woźnica furką z dr. Willertem do Blachowni, gdzie miał swoich pacjentów, by pod Częstochową przejść granicę GG. Zważywszy jednak na szybki postęp radzieckiej ofensywy postanowiłem zaczekać na wyzwolenie w Lublińcu.

18 stycznia w południe patroly Volkssturmu penetrowały dom po domu nakazując wszystkim Niemcom ewakuację na zachód. Ten krytyczny moment obserwowaliśmy z Kubasiem ukryci w piwnicy. Wieczorem usłyszeliśmy pierwsze strzały, by rano ujrzeć wkraczające wojska.

Ujrzawszy pierwszy czołg wywiesiliśmy z Kubasiem kilka już przygotowanych polskich flag. Inne czołgi jednak nie nadchodziły i przez 2 godziny myśleliśmy, że wojska radzieckie wycofały się. Kobiety zmyły nam mocno głowy za tą przedwczesną manifestację polskości, która groziła smutnymi konsekwencjami, gdyby Niemcy wrócili. Po 2 godzinach nasza niepewność przekształciła się w radość. Ujrzelśmy mrowie żołnierzy radzieckich, czołgów, tabórów, ciągnącej bez przerwy artylerii. Witaliśmy naszych oswobodzicieli z prawdziwie spontaniczną radością.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.11.3.7.

O ZAMIARACH UCIECZKI

W Briegu wymienialiśmy komando Żydów, którzy wychodzili z obozu, kiedy my wchodziliśmy. Mieliśmy pracować przy przebudowie lotniska cywilnego na wojskowe. Tutaj stworzyliśmy tajną organizację. Było nas wtajemniczonych około 30. Wśród nich, znani mi z konspiracji w AK mjr Kozubowski, por Kowalski, por Piasecki, kpt. Tęsiorowski, kpt. Dukalski. Celem naszym było zorganizowanie ucieczki z obozu i dalsza walka z okupantem. W komandzie Brieg wachmanami byli żołnierze wojsk lotniczych. Mimo normalnego obozowego rygoru, warunki były tutaj znośniejsze niż w Gross-Rosen. W naszej organizacji podzielono role. Mnie przypadła funkcja oficera trasowego. Pracując poza drutami kontaktowaliśmy się z robotnikami i majstrami wolnościowymi. Z jednym z nich nawiązałem bliższą znajomość. On doręczył mi mapkę turystyczną Śląska z granicami GG i kompas. Udzielił mi także cennych rad, jakimi drogami, mało obserwowanymi przez wojsko, można dotrzeć do serca Polski. Nocami, przy ogarku świecy, w sztubie kolegi Kowalskiego robiłem odpisy z otrzymanej mapki, z wyznaczeniem tras, którymi mamy się poruszać. Tych mapek zrobiłem około 20 sztuk.

Z obozu mieliśmy wydostać się przez podkop z magazynowego baraku, położonego w pobliżu drutów. Za drutami, z tej strony obozu, znajdowały się zarośla. Byliśmy już bardzo zaawansowani w robotach ziemnych. Tunelu było już około 15 metrów, kiedy zostaliśmy ostrzeżeni przez kolegę Kamińskiego, że przyjeżdża inspekcja gestapo z Gross-Rosen. Tej nocy zasypaliśmy, czym się dało, cały pionowy korytarz naszego wykopu. Właz zamaskowaliśmy stawiając na nim ciężkie skrzynie. Inspekcja była nazajutrz. Myszkowali wszędzie, ale śladu naszej roboty nie znaleźli.

Po tej inspekcji powstał drugi plan ucieczki, naziemny. Postanowiliśmy, w czasie prac za drutami, rozbroić postów, przebrać się w ich mundury i opanować samochód, którym wożono nas na roboty. Tym samochodem mieliśmy dotrzeć do GG. Uważaliśmy, że najlepiej to zrobić w czasie mgły. Czekaliśmy więc tylko na dobre warunki atmosferyczne. Tymczasem hitlerowcy uformowali transport do fabryki Heinkla. W tym transporcie znalazłem się ja. W przeddzień wyjazdu z Briegu przekazałem koledze Kowalskiemu wszystkie materiały: plan ucieczki, instrukcje i mapki, a także kompas. Fabryka Heinkla została zbombardowana, a nas skierowano do Gross-Rosen. Któregoś dnia rozeszła się po obozie Gross-Rosen wiadomość, że z komanda Brieg uciekło 30 więźniów. Następne wiadomości były straszne: wielu z uciekinierów zabito, kilku ma być przysyłanych do Gross-Rosen do karnej kompanii kapo Fogla. A to oznaczało męczarnie i śmierć. Moje położenie było fatalne. Czekałem kiedy mnie wezwą na przesłuchania. Obawy okazały się bezpodstawne. Zchwytni, mimo tortur, nie ujawnili briegowskiej organizacji. Doczekałem się zbliżania się frontu i ewakuacji obozu.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.11.3.9.

W REWIRZE KOMANDO BRIEG

Wieczorem koledzy zaprowadzili mnie do lekarza, też więźnia, przyjmującego w prowizorycznie urządzonym laboratorium mieszczącym się także w domku kampingowym. Lekarz popatrzył, pomacał, nabrzmiące miejsca posmarował maścią ichtiolową i zabandażował je papierowymi bandażami. Janek Sadowski wziął mnie na barana i zaniósł z powrotem na siennik.

Po rannym apelu koledzy wychodzili do budowy torów kolejowych, budowy i remontu dróg i pasów startowych. Była też specjalna grupa, wywożona na miejsce bombardowań, gdzie więźniowie wyciągali niewypały i odkręcali zapalniki. Ja w tym czasie leżałem na sienniku i bez przerwy wpatrywałem się w sufit. Jedna myśl, jak natrętna mucha nie dawała mi spokoju: co dalej? Męczyła mnie świadomość, że nikt z oficjalnych władz nie interesuje się mną, że jestem jakby poza ewidencją, że w ogóle nie liczę się. Na pewno zapadnie decyzja "pozbyć się darmozjada" i wywożą mnie stąd. Wieczorami koledzy pocieszali, że jest na ukończeniu barak, w którym ma być szpital. I rzeczywiście po kilku dniach przeniesiono mnie do baraku - szpitala. Była to duża sala, ze świecącymi w ścianach szparami i poukładanymi na podłodze, wzdłuż ścian, siennikami. Tutaj dopiero zobaczyłem, że chorych jest koło czterdziestu. Otrzymałem koc, pod głowę podłożyłem pasiaki.

Personel szpitala składał się z dwóch osób: lekarz, podobno z Kielc, dobrze wyglądający mężczyzna lat około czterdziestu i sanitariusz Ludwig, podobno student medycyny, młody i energiczny, do jego obowiązków należał przede wszystkim rozdział artykułów żywnościowych.

Jako jeden z pierwszych trafiłem na stół operacyjny. Dojrzałe czyraki przecinano i wysiskano jakieś rdzenie bez znieczulenia, wśród piekielnego bólu. Najpierw operowane miałem dwa palce u lewej ręki i jeden u prawej, oraz obie nogi w kostkach, a po dwóch dniach łydki. Znow kilka dni przerwy i przyszła kolej na najpoważniejszą i najbardziej bolesną operację lewego uda. Ludwig powiedział do lekarza:

- Mamy trochę eteru, może mu dać?

Poprzednie operacje przeżyłem wśród tak strasznego bólu, że propozycję Ludwiga skłonny byłem przyjąć jako objaw ludzkiego współczucia.

Na twarz nałożono mi maskę i zacząłem liczyć. Głosy rozmawiających stały się coraz bardziej ciche, jak gdyby oddalone, gdzieś za ścianami słuch chwycił przyciszone śpiewy chóralne, powoli zapadałem się w czarną otchłań. Liczyłem do 27. Później poczułem zupełnie wyraźny, rozdzierający nogę ból. Wiem, że całą siłą płuc krzyczałem, wyłem, ale własnego głosu nie słyszałem. Kilka rąk przyciskało mnie z całej siły do stołu, krajanie uda trwało wieki, a ja przeżyłem się, kurczyłem, wiłem i resztkami

sił wzywałem pomocy niebios. Do świadomości mojej dotarła myśl, że uspienie to ordynarne oszustwo. Człowiek tak samo odczuwa ból, tylko po przebudzeniu się na pewno nic nie pamięta. Operacja tymczasem dobiegła końca, zdjęto mi maskę. Usiadłem, spojrzałem nieprzytomnym wzrokiem po obecnych i powiedziałem:

- Dzień dobry.

Lekarz mył ręce, Ludwig śmiał się.

- Darłeś się jak stare prześcieradło - powiedział - za mało mieliśmy eteru.

Myliłem się - niczego nie zapomniałem. I ból, i chóralne śpiewy, i własny, głuchy krzyk - wszystko mogłem odtworzyć na nowo.

W udzie miałem dwa cięcia i przewleczony przez nie dren. Koledzy zanieśli mnie na siennik. Byłem senny i zdawało mi się, że lada chwila zwymiotuję.

Miałem teraz zabandażowane obie nogi, lewą całą, prawą od kolana w dół i obie dłonie. Najwięcej trudności sprawiało mi wychodzenie do ustępu. Czołgałem się pomagając sobie łokciami, a że podłoga w ustępie zawsze była mokra, wracałem przemoczony i cuchnący. Nic też dziwnego, że i siennik był mokry i nie grzeszył świeżością. Zresztą zaduch w całym baraku był uderzający, mimo szpar w ścianach i otwartych okien. Nad wszystkimi odorami panował mdły zapach ropy, bo większość chorych to ludzie z ropiejącymi ranami. Mój bliski sąsiad dosłownie pocił się ropą. Niemal ze wszystkich porów jego ciała wydzielaly się śmierdzące kropelki białego płynu.

Przy pierwszej zmianie opatrunku zauważyłem, że ropiejące rany nabite mam wszami. Siedziały równiusieńko jedna obok drugiej i tylko wystawione do góry nabrzmiałe zadki świadczyły, że najedzone są do syta. Odrażająco to wyglądało, ale pomału przyzwyczajałem się do najgorszego.

Warunki w szpitalu - bo o tych tylko mogę mówić - były dobre. Mówiąc "dobre" nie mam oczywiście na myśli wyposażenia, przystosowania lokalu, opieki lekarskiej, higieny, lekarstw - myślę wyłącznie o atmosferze i wyżywieniu, a przecież cierpieć i umierać w spokoju to też dużo. Nie było tutaj dyscypliny obozowej i bestialskiego znęcania się nad więźniami, nie było apeli na baczność i selekcji. Czasami Ludwig, dla podkreślenia dobrego humoru, rzucił w kogoś miotłą, czasami posłał pod czyjś adresem soczystą wiązaną. Często, ot tak, dla zabawy, wlał komuś zupełną gęstą, z dna kotła, a innemu samą lurę. Normalnie najpierw wymieszał zawartość kotła chochlą i dopiero wtedy rozdzielał zupełnie sprawiedliwie. O zupełnej sprawiedliwości w ogóle nie można mówić, bo przed wniesieniem kotła na salę regularnie odbywało się wyławianie kawałków mięsa dla personelu szpitala i ich przyjaciół, ale w ostatecznym rozrachunku i my nie byliśmy głodni. Na śniadania i kolacje otrzymywaliśmy, poza chlebem i margaryną, dodatki w postaci kawałka kiełbasy, łyżki marmolady albo twarogu.

Kiedy cały obóz pogrążony był we śnie, wchodził na palcach do sali lekarz, klękał na środku i szeptem odmawiał litanie. Zgodnym chórem, też szeptem, powtarzaliśmy w skupieniu: "zmiłuj się nad nami", "módl się za nami", "wybaw nas, Panie". Nastrój był podniosły, wszystkich bez wyjątku ogarniało zniewalające wzruszenie. Zdarzało się, że na zakończenie zaintonował "Boże,

coś Polskę", a później cały czas czuwał, by przeplatany szlochem śpiew nie przekraczał granic szeptu. Wyjątkowy chór, wyjątkowa, niepowtarzalna sceneria... To był dobry lekarz, dobry człowiek, tak zresztą jak i dobrzy w szpitalu byli chorzy.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.11.3.10.

Franciszek Knapp
P-12169

MOJA NIEUDANA UCIECZKA

Z Pawliaka wywieźli nas do Gross-Rosen, a po kilku dniach do podobozu w Brzegu, gdzie rozbudowywaliśmy lotnisko. Zakopywaliśmy olbrzymie zbiorniki na benzynę po 50.000 litrów - 4 sztuki. Gdy nastały mrozy, w grudniu 1944, Niemcy przerwali prace ziemne i więźniów zatrudnili grupami, po 20-30 przy różnych robotach w mieście i na stacji kolejowej. Jedną grupę 30 więźniów wyznaczył komendant obozu do składowania różnych zrabowanych towarów. Były to koce, bielizna, papierosy, koniaki, wino, słodycze i żołnierskie paczki żywnościowe. Towary te magazynowaliśmy w dużym, czteropiętrowym budynku po jakiejś fabryce. Magazyny były odległe od naszego obozu około 30 km. Do pracy i z pracy wozili nas pod eskortą samochodem ciężarowym. Po zorientowaniu się w sytuacji ja i kilku kolegów z ruchu oporu postanowiliśmy zorganizować ucieczkę całej grupy.

Przygotowania trwały przez cały grudzień 1944, gdyż trzeba było ostrożnie wtajemniczać kolegów, których nie znaliśmy. Po wtajemniczeniu wyznaczaliśmy role, jaką każdy miał wykonać przy rozbrajaniu konwoju. W ruinach magazynowaliśmy benzynę, którą codziennie, po trochu kradziono z baku samochodu. Organizatorami ucieczki byli: por. marynarki Mieczysław Dukalski, Franciszek Knapp, por. Górski Michał, mjr. Jerzy Tęsiorowski i Władysław Sankowski. Wśród nas było trzech żołnierzy sowieckich. Gdy wszystko było zapięte na ostatni guzik, czekaliśmy na odpowiednią chwilę. Nastąpiła ona 5 stycznia 1945 roku. Pracę skończyliśmy wcześniej i zaraz po obiedzie wracaliśmy do obozu. Magazyny były usytuowane w lesie. Gdy z lasu wyjechaliśmy na szosę, stwierdziłem że jest ona pusta. Krzyknąłem więc: "Chłopcy, w imię Boże". Wyznaczeni skoczyli na konwojentów, których pięciu siedziało na ławce z tyłu samochodu. W mgnieniu oka rozbrojono ich, zakneblowano im usta i rozebrano z mundurów. Mundury te włożyli na siebie koledzy, którzy mówili po niemiecku. Więźniarski ciuchy nałożono żołnierzom. Teraz nastąpiła najważniejsza chwila. Trzeba było rozbroić szofera i komendanta konwoju. Ten ostatni siedział w szoferce. Kawałkiem wyostrożonej blachy rozciąłem bre-

zent nad szoferką i stwierdziłem, że szosa w dalszym ciągu jest pusta - zapukałem w dach szoferki. Szofer zatrzymał wóz. W tym momencie więźniowie przebrani w niemieckie mundury i uzbrojeni, wyskoczyli ze skrzyni i stanęli po obu stronach szoferki. Rozbrojono Niemców bez oporu. Z zamieszania skorzystał kapo Henryk Zawierucha/lat 19, z Sosnowca/. Wyskoczył niepostrzeżenie z wozu i skrył się w krzakach, w rowie przydrożnym. Po rozbrojeniu szofera i komendanta /sierżant/ do szoferki wsiedli nasi świetni kierowcy, były szofer ministra Becka, dobrze mówiący po niemiecku /nazwiska nie pamiętam/ i starszy sierżant wojsk pancernych Armii Radzieckiej, którego nazwiska także nie pamiętam.

Kierowaliśmy się do Opola i dalej do Częstochowy, gdzie mieliśmy zapewnioną melinę. W naszej grupie był bowiem Franciszek Więckowski członek AK z terenu Częstochowy. Gdy wjechaliśmy do Opola zauważyliśmy dość gęsto patrole wojska i żandarmerii. Szczęśliwie dotarliśmy do mostu na Odrze. Na moście zatrzymał nas żandarm, ale widząc żołnierzy w szoferce i z tyłu siedzących przepuścił nas. Za mostem poleciłem policzyć, czy wszyscy są. Ruch w Opolu nasunął mi podejrzenie, że nastąpiła jakaś zdrada. Okazało się że brak wśród nas kapo Zawieruchy. Gdy byliśmy za Opolem 20-30 kilometrów zobaczyłem jakiś pościg za nami. Kilka wozów z żandarmami jechało za nami i przed nimi samochód pancerny z działkiem. Krótka narada. Wyskoczyliśmy z samochodu, zostawiając żywych Niemców, a sami marszem ubezpieczonym ruszyliśmy w las. Nie uszliśmy daleko, gdy zaczęły grać za nami ciężkie karabiny maszynowe.

Ta seria nie była groźna. Gęsty las i duża odległość chroniły nas. Po dwóch godzinach marszu wyszliśmy na polanę. Przez jej środek wykopany był głęboki rów przeciwczołgowy, ciągnący się kilometrami. Po przeciwległej stronie rowu były ustawione sęgi. Po sforsowaniu rowu, w śniegu po kolana, chcieliśmy odpocząć na sęgach i naradzić się co robić dalej. Gdy zbliżaliśmy się do sągów gruchnęła w nas salwa. Okazało się, że natknęliśmy się na zasadzkę złożoną z żandarmów, leśników i okolicznychbauerów. Od pierwszej salwy zginął były dyrektor banku z Krakowa Zdybalski. Część grupy, która była najbliżej sągów padła w śnieg i podczołgała się pod sęgi. Reszta wyskoczyła z powrotem do rowu i rowem uciekała na wschód. Tych wykłapali prawie wszystkich na drugi dzień. Ucieczka udała się tylko dwóm - Jerzemu Tęsiorowskiemu i Władysławowi Sankowskiemu.

Ja znalazłem się w grupie, która podczołgała się pod sęgi. Sęgi ciągnęły się do ściany lasu. Podczołgaliśmy się pod ostatni sąg i skokiem do lasu. Posypały się za nami strzały, ale niecelne. Ja poderwałem się ostatni i wyskoczyłem zza sęgu. Jakiś leśnik wygarnął do mnie z dubeltówki. Poczujęm piekący ból w szyji. Miałem parabellum zabrane komendantowi konwoju. Widząc, że leśnik ładuje znów dubeltówkę, byłem pierwszy. Po złapaniu nas, po trzech dobach, gestapo w Opolu młóciło nas jak mokre żyto, aby dowiedzieć się który z nas zastrzelił leśniczego. Ja do tej pory o tym leśniczym pamiętam. Trzy śruty do chwili obecnej tkwią w mojej szyji. Nie usuwam ich, bo mi nie dokuczają.

9 stycznia byliśmy z powrotem prawie wszyscy w obozie Brieg. Powiązano nam ręce i nogi i w oddzielnym baraczkach leżeliśmy na podłodze. Co parę godzin rozwiązywano nam nogi i pędzono boso na śnieg. Zmuszano nas do czołgania się po śniegu. Część obozu

współczuła nam. Byli jednak i tacy, którzy nas leżących kopali drewniakami. Po dwu dniach takiej gehenny przyjechał z Gross-Rosen komendant obozu. Odczytano nam wyrok śmierci przez powieszenie. Powiązanych jak barany, załadowano nas do samochodu ciężarowego i odesłano do Gross-Rosen. Tam na bloku 19, w karnej kompanii mieliśmy oczekiwać na wykonanie wyroku. W międzyczasie front wschodni przesunął się znacznie na zachód. Do obozu zaczęły napływać transporty więźniów z podobozów i Oświęcimia. Nasz blok 19 i kilka sąsiednich oddano więźniarkom /około 4 tys. kobiet/. Nas wpakowano do bunkra, gdzie mieliśmy czekać na wykonanie wyroku. Na początku lutego 1945 zebrano wszystkich skazańców. Jedni z nas kopali olbrzymie doły na śmietniku, inni wozili do tych dołów popioły z krematorium.

Na drugi dzień miano nas powiesić. Szubienice i doły były już przygotowane. Następnego dnia raniutko nadleciał radziecki samolot i ostrzelał obóz z broni pokładowej. Esesmani w pośpiechu rozpoczęli ewakuację obozu.

Na stacji załadowano nas na blaszane węglarki. Siedzieliśmy jeden drugiemu między nogami. Przez całą drogę nie dano nam pożywienia. Nasz transport wyszedł z Gross-Rosen 8 lutego, a przybył do Dory 13 lutego.

3 i 4 kwietnia 1945 roku obóz w Nordhausen został zbombardowany przez lotnictwo amerykańskie. Podczas bombardowania zostałem ranny w lewą nogę. Po wyleczeniu w szpitalach amerykańskich, w końcu lipca 1945 roku wróciłem do kraju.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.11.3.11.

Poezja obozowa

Dzień krwią wypełniam
z fontanny różnych czasów
próżno usiłuję wołać do życia ofiary
wyjmuje z rozlanej toni
bólu
mój czas stracony
w tumanach bijącego piachu i kamienia.

Odwracam oczy
sięgam za barierę szczytu
i oddycham cierpieniem duszy
i rzucam w powietrze brzęczące
słowa skargi
płaczącego serca.